

Mirosław Bieliński

Marszałek Piłsudski jakim widywał Go mój Ojciec

Niepodległość i Pamięć 8/1 (17), 111-114

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Mirosław Bieliński

Marszałek Piłsudski jakim widywał Go mój Ojciec

Ojciec mój Teofil Bieliński urodził się 22 kwietnia 1905 roku we wsi Kębtowo (powiat Wolsztyn, województwo poznańskie). W latach 1911–1917 uczęszczał do szkoły podstawowej tzw. Volksschule. W wieku 17 lat opuścił dom rodzinny w poszukiwaniu pracy. Od roku 1922 do 1924 pracował w majątku ziemskim jako robotnik rolny. W 1925 roku ukończył roczną Szkołę Rolniczą w Skórczu (pow. Starogard). Jesienią 1926 roku został powołany do odbycia czynnej służby wojskowej i wcielony do 8 Dywizjonu Żandarmerii w Toruniu. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej został w wojsku na stałe. W roku 1929 przeniesiony do Warszawy do Szwadronu Ochrony 1. Dywizjonu Żandarmerii, w którym pełnił służbę wartowniczą do wybuchu wojny. Kampanię wrześniową odbył w Wołyńskiej Brygadzie Kawalerii.

Po półrocznym internowaniu w Rumunii (Targu-Jiu) uciekł i przedostał się na Bliski Wschód (Liban) do formującej się Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, z którą przeszedł cały szlak bojowy (Tobruk, Gazalla). Od roku 1943 do końca wojny brał udział w szeregach II Korpusu w walkach na Półwyspie Apenińskim (Monte Cassino, Ankona, Bolonia). W styczniu 1947 roku powrócił z Anglii do Kraju. Przez pierwsze dwa lata pracował w Głównym Urzędzie Statystycznym, potem w RSW „Prasa” jako korektor aż do przejścia na emeryturę w roku 1970.

Zmarł nagle 12 grudnia 1974 roku.

Pozostawił po sobie pudełko odznaczeń wojennych i kilkadziesiąt stron wspomnień. Te o służbie Marszałkowi Piłsudskiemu przytaczam w całości.

„Myślę, że słusznie uczynię, kiedy wspomnę o człowieku znanym w historii. Ona go ominąć nie może, mimo surowych ocen.

Widywałem go wielokrotnie.

Któregoś dnia, spacerując po parku, zbliżył się do mojego wysuniętego posterunku, a ja nie tyle ze strachu, ale w myśl instrukcji, by nigdy Naczelnikowi nie narzucać się swoją osobą, schowałem się za budkę wartowniczą. Krocząc tak w głębokim zamyśleniu, kiedy

mijał moją budkę, skierował wzrok tu, gdzie się mnie spodziewał. Gdy to spostrzegłem, wystąpiłem, sprężyście stając w postawie na baczność.

Zatrzymał się, przypatrzył mi się życzliwym wzrokiem i powiedział: „Co synku, dlaczego się przede mną kryjesz?” Odpowiedziałem krótko, że nie chcę przeszkadzać. Po czym usiadł opodal na ławce i pogrążył się w myślach. Obserwowałem go z wielkim zainteresowaniem. Siedział oparty o poręcz ławki, a wyciągniętą ręką bębnił o nią jakby do taktu. W tym czasie ktoś prawdopodobnie ważny wjechał na dziedziniec samochodem. Po chwili wyszedł adiutant i energicznym krokiem podszedł do wodza i stając na baczność coś mu zameldował. Wódz na meldującego w ogóle nie zwrócił uwagi, a nawet odwrócił się bokiem i dalej bębnił po poręczu ławki.

Adiutant powstał chwilę bezradny, po czym wykonał w tył zwrot i odmaszerował.

Po niedługim czasie przyszła naczelnikowa, usiłując go nakłonić do przyjęcia tej ważnej osobistości. Naczelnik bez słowa zerwał się z ławki i oddalił na drugi koniec parku.

Właśnie powróciły ze szkoły jego córki Wanda i Jagódka i napuszczone przez matkę biegiem udały się do ojca, ujęły go za szyję, ucałowały i ze śmiechem, szczebiocząc, uchwyciły go za ręce, pociągając w kierunku domu.

Muszę zaznaczyć, że był bardzo pracowity, nieraz w swoim gabinecie przesiadywał do trzeciej rano, medytując, to spacerując, a kiedy już zmęczony albo i zdenerwowany, rozrzucił dokumenty czy papiery, przy czym zza szyby słychać było basowe wrzaski wyrażające niezadowolenie z przebytej z samym sobą narady. Prócz gromkich okrzyków słychać było walenie pięścią w blat biurka.

Innym razem przekonałem się, że nie znosił wojskowego drylu. Wracał tego dnia późnym popołudniem z G.I.S.Z.–u Alejami do swej siedziby w Belwederze w towarzystwie adiutanta. Stałem z kolegą na posterunku przy głównej bramie. W chwili gdy koło nas przechodził, oddaliśmy honory głośno trzaskając obcasami. Wyrwało go to z zamyślenia, widocznie zbyt gwałtownie, bo przystanął i każdemu z nas spojrzał groźnie w oczy. Po chwili oddalił się, nie oddając nam honorów i splunął. Było nam przykro, ale później, kiedy Dziadek nas mijał zachowaliśmy się znacznie ciszej i wtedy odklonił się nam przyjaźnie.

Pamiętam jego oczy, te groźne i te przychylnie. Były koloru ciemnoniebieskiego i widziałem w nich troskę o Polskę.

Byłem świadkiem jego bardzo ludzkiego potraktowania pewnej uczennicy, która podbiegła do niego, idącego Alejami, chcąc mu wręczyć jakąś prośbę czy podanie. Nie zdołała jednak do niego dotrzeć, gdyż została zatrzymana przez jakiegoś osobnika w meloniku. Dostrzegł to Dziadek i w lot zrozumiał, o co tu chodzi, i przystanął, gromiąc owego osobnika, zapraszając dziewczynkę uprzejmym gestem do siebie. Ta, wystraszona, podeszła i z wdziękiem dygając wręczyła mu kopertę. Dziadek coś jej powiedział i pogłaskał ją życzliwie po główce. Obserwowałem tę scenkę do końca i widziałem, jak uszczęśliwiona dziewczynka śmiesznie podskakując pobiegła na przystanek tramwajowy, a za nią ów cywil w meloniku.

Raz podeszła do mnie pod budkę babinka w podeszłym wieku i powiedziała, że chce się zobaczyć z Naczelnikiem. Nie broniłem jej, ale musiałem telefonicznie podać jej nazwisko i to, ku mojemu zdumieniu, wystarczyło.

Kiedy wracała za godzinę, przypatrzyła mi się uśmiechnięta i zapytała, czy mnie to nie ciekawi, że tak szybko uzyskała zezwolenie. Była przy tym bardzo gadatliwa i opowiedziała mi pokrótce historyjkę, jak to w 1905 roku, gdy służyła w pewnym majątku podczas dojenia



Teofil Bieliński, ok. 1930 r.



Marszałek Józef Piłsudski przed Belwederem, ok. 1930 r.

krów nagle wpadł do obory jakiś nieznany człowiek ścigany przez kozaków. Szybko się zorientowała, założyła temu człowiekowi chustę na głowę i przepasała fartuchem, każąc mu usiąść na stolku i udawać dojkę. Kozacy przeszukali oborę i oddalili się z okrzykiem „ot uchadził swołocz”.

Kiedyś, pełniąc służbę w westybulu do sali konferencyjnej, widziałem przez uchylone drzwi, jak kilku generałów i innych przedstawicieli władzy prowadziło ożywioną dyskusję. Był wśród nich Naczelnik, ale nie zabierał początkowo głosu, tylko się przysłuchiwał. Niekończąca się dyskusja widocznie go zdenerwowała, bo nasrożył swoje krzaczaste brwi i ryknął tubalnym głosem, że plotą bzdury. Z jego postaci biła wielka siła. Wszyscy stanęli wyprężeni na baczność i zrobiła się cisza.

Nie znosił sprzeciwu, jego decyzja musiała być ostateczna.

Słyszałem raz, jak po spotkaniu z biskupami podczas samotnej pogawędki wyraził głośno swoje niezadowolenie, wykrzykując „co oni znowu, pozamykam ich!”.

Jedno jest pewne, że my, prości jego żołnierze będący zawsze z dala od wielkiej polityki, kochaliśmy go. Każdy jego gest, ruch, wypowiedź, spojrzenie były dla nas czymś niezwykłym.

Ten, kto tak jak ja miał możliwość widywać go w codziennym życiu choćby z daleka, przez szparę w drzwiach, przez szybę, czuł do niego wielkie przywiązanie”.